

Bez tytułu

Nie mogę się pozbyć wrażenia, że słyszę jej przerażający, bolesny krzyk. Czarno-białe zdjęcie, a na nim kobieta, niczym rzeźba odlana ze światła i cienia, zastygła w geście beznadziejnej próby odgrodzenia się od... nie wiem czego. Może gdyby przewyciężyła dziecięcy odruch zasłaniania oczu przed tym, czego istnienia nie chcemy zaakceptować, i spojrzęła przed siebie zobaczyłaby powykręcane, zdeformowane, okaleczone i zmutowane ciała, wrogi, wypalony ogniem pożogi krajobraz, zniszczone i opustoszałe miasta, z górującymi nad nimi przytłaczającymi sylwetkami wieżowców i świątyń, splecionych z obumarłych korzeni, pękniętych murów i pajęczyn. Słowem – koszmar. Może nie chce tego widzieć. Może nie chce mieć nic wspólnego z onirycznym światem z obrazów.

Ja też czuję niepokój, ale nie zasłaniam się, nie odwracam wzroku. Wędruję przez ciasne pokoje położonego na wzgórzu zamku, który mógłby być legowiskiem mroku i dziwnych stworzeń z obrazów zdobiących jego chłodne mury; wchodzę w ciemność sali wystawowej, jakbym przekraczał próg niegościnniej katedry, do złudzenia przypominającej jedną z najbardziej rozpoznawalnych budowli na świecie.

Podziwiam detal. Podziwiam anatomiczną złożoność ciała, chaotyczne sploty ścięgien i mięśni, skomplikowane maszynerie organów i kończyn. Dostrzegam każde pęknięcie i drzazgę na krzyżu, najmniejszą szczelinę w ścianie złowrogiego budynku, musnięcia pędzlem tworzące ciężkie, zachmurzone niebo. Przedmioty, drobne elementy, ciała i twarze są tak wyraziste, że sprawiają wrażenie realnych, jakby na wyciągnięcie ręki, jakby znajdowały się tuż za oknem tworzonym przez ramy obrazu. Zapierająca dech w piersiach szczegółowość, eksperymentalność. Przepęłnione mistycyzmem i symboliką przygnębiające pejzaże skłaniają do refleksji.

Czy jest to próba konfrontacji z własnym doświadczeniem wojny? Gnijące ciała w żołnierskich hełmach i wygniecionych płaszczach. Dzieła techniki jako śmiertelne, przerażające maszyny. I mogiły – wszędzie nagrobki, poprzewracane, zaniedbane; sięgające horyzontu pola kamiennych tablic. Czy może raczej impresje na temat kondycji ludzkości po XX wieku, naznaczonym moralnym upadkiem i totalitaryzmami? Tłumy anonimowych, pozbawionych cech i płci postaci z wykrzywionymi ustami i panicznym wzrokiem cisnący się pod mównicą, na której stoi monstrualny zgarbiony człowiek w garniturze. Krzyże – zapomniane, pozostawione w pustej głuszy niszczone konstrukcje, których znaczenie już dawno rozwiął zimny wiatr czasu. Wiszą na nich tylko stare szmaty i kości. Senne wizje przelane na papier? Pokaz malarskiego kunsztu? Zabawa formą i materią? Po prostu ładne obrazy?

W jednym z nich przeglądam się jak w lustrze: drobna postać odważnie kroczy wąską ścieżką między dwoma wielkimi murami, zbudowanymi z olbrzymich posągów. Wędrowiec unosi przed

sobą niewielkie światło, starając się oświetlić nim drogę i pobliskie ściany. Nie jest w stanie jednak odkryć wszystkiego co znajduje się dookoła. Większość koszmarnego krajobrazu jest dla niego niedostępna.

Te apokaliptyczne wizje popychają mnie ciągle w głąb ludzkiej świadomości i nieświadomości. Nakłaniają do myślenia o człowieku, o świecie, o wartościach. Nie ma tematów tabu. Najskrytsze obawy i pragnienia mogą opuścić czarne i wilgotne jaskinie naszej wyobraźni po to, byśmy mogli się z nimi skonfrontować. Bo jeśli nie staniemy twarzą w twarz z mrokami duszy to zostaniemy sami – przestraszeni, wyizolowani i pozbawieni nadziei jak świat z obrazów.

Wychodzę z ciemnej sali i opuszczam surowe mury zamku. Instynktownie zasłaniam oczy, rozwierając usta gotowe do krzyku.

Andrzej Jachniewicz, Kraków, 2019